



DARIUSZ FOINT

HISTORIE DUCHOWE  
PO CIĘŻKICH WYPADKACH

---

Oparte na faktach

*Mojej żonie Kasi oraz córce Otylii*

DARIUSZ FOINT

# HISTORIE DUCHOWE PO CIĘŻKICH WYPADKACH

---

Oparte na faktach

POZNAŃ 2023

Copyright by Dariusz Foint 2023

ISBN 978-83-982478-1-8 (e-book)

Druk i oprawa: CERDRUK

Oficjalny patronat: czasopismo „Nieznany Świat” Anna Ostrzycka-Rymuszko sp. j.  
<http://nieznanyswiat.pl>

**NIEZNANY  
ŚWIAT**

 HISTORIE  
DUCHOWE

 Maximum  
Odszkodowan.pl

*Jeśli zmienisz sposób, w jaki patrzysz na rzeczy,  
rzeczy, na które patrzysz, zmienią się.*

Joe Vitale



# CZĘŚĆ I

Wszystko  
ma swoje początki



Zanim zacznę opowiadać o tym, co widziałem, przeżyłem, słyszałem i jakich świadectw doznali ludzie, którzy przeszli ciężki wypadek lub stracili kogoś bliskiego w wyniku wypadku ze skutkiem śmiertelnym, to uważam, że uczciwie będzie, gdy napiszę coś o sobie, swojej przeszłości, o tym, co robiłem i jak żyłem, zanim spotkałem się z wieloma świadkami duchowych zdarzeń. Duchowych dlatego, że często trudnych do udowodnienia, zweryfikowania, ale jednak będących niezwykłym zbiegiem okoliczności, których nie sposób jakkolwiek umieścić w świecie dostrzeganym przez nasze zmysły, takich, które w jakiś niewiadomy sposób spłotły się w jednym czasie i miejscu. Wszystko to jest, moim zdaniem, godne udokumentowania choćby w taki sposób, jak ta książka.

Przedstawione historie dotyczą prawdziwych osób, które przeżyły opisane zdarzenia. Zmieniam jednak imiona postaci i nazwy miejscowości, ponieważ odnalezienie ich byłoby całkiem proste, a jednocześnie niehumanitarne, gdyby próbowano weryfikować prawdziwość tego, co się wydarzyło. Po podaniu nazwy miejscowości (zwłaszcza niewielkiej) i roku, wykorzystując internet i lokalną prasę, dotarcie do osób po tak niecodziennym zdarzeniu jak wypadek ze skutkiem śmiertelnym (wówczas do rodziny zmarłego) byłoby dziecinnie proste. Przekonałem się o tym, gdy wykonywałem swoją codzienną pracę. Wiele osób, którym wspominałem,

iż zabieram się za taką publikację, nie miało nic przeciwko. Jednak zdaję sobie sprawę, że gdyby kiedykolwiek doszło do sytuacji, w której z powodu tej książki ktoś, kogo historię tu przytaczam, miałby jakiegokolwiek problemy, miałbym ogromne poczucie winy.

Napisałem tę książkę, ponieważ chcę w niej przedstawić zdarzenia, które, jak głęboko odczuwam, powinny ujrzeć światło dzienne. Na wstępie chciałbym jednak wyjaśnić kilka kwestii. Przede wszystkim uciekam od nazywania czegoś paranormalnym – nie znam się na paranormalności, nie wiem, czym w ogóle jest normalność, ale wiem, że wszystkie osoby, które chcą żyć i żyją „normalnie”, funkcjonują w największej fikcji, jaką kiedykolwiek stworzył świat. Dlaczego? Często słyszę, że to wszystko jest normalne lub nienormalne, tylko że nikt nie zna parametrów normy, a więc jaki jest punkt odniesienia? Nie ma takiego... I to dopiero jest czysta fikcja – nieprawdaż?! Nie da się tego ocenić dlatego, że każdy człowiek jest inny, ma inne doświadczenia, inną przeszłość, status materialny, inne poglądy, kieruje się innymi wartościami, wykonuje na co dzień inne zajęcia, żyje w innej kulturze, religii, ma inne priorytety, inne możliwości – jesteśmy po prostu różni. I to jest piękne. Świat, który znamy, to świat różnic. Dążenie do tego, abyśmy wszyscy byli równi, nigdy nie mogło się udać i nigdy się nie uda.

Dlatego zdecydowałem się podzielić znanymi mi historiami, skoro zdaję sobie sprawę, że mogą one zostać niezrozumiane, ocenione inaczej niż to sobie wyobrażam? Chcę udokumentować zdarzenia, o których mi wiadomo. Nie będę tworzył fikcji literackiej, fantastyki, a opowiedziane przeze mnie sytuacje postaram się jak najbardziej celnie, dokładnie, z każdymi znanymi mi szczegółami przedstawić – mimo wszystko w sposób subiektywny. Nie będę niczego ubarwiał, nie będę szukał uznania ani bliżej mi nieznanego poczucia tryumfu. Piszę tę książkę, bo chcę, aby przedstawione histo-

rie zostały zapamiętane, a temat przewodni, czyli duchowość, w jakiś sposób zgłębiany.

Gdy zacznym pisać, mam 36 lat, jest 27 listopada 2022 roku. Kilka dni temu minęło dziesięć lat mojej pracy w odszkodowaniach. Czym jest ta branża? To dłuższy temat, ale postaram się go nieco przybliżyć. Z mojego punktu widzenia branża odszkodowań skupia się na człowieku i na potrzebie jego obsługi prawnej pod względem uzyskania wszelkich możliwych roszczeń, które należą mu się po wypadku czy w wyniku ciężkiego zachorowania. Taka jest moja definicja i tę wartość uznaję za najważniejszą. Często uczę swoich współpracowników, że branża odszkodowań to CZŁOWIEK. Parafrazując słowa św. Augustyna – kiedy człowiek będzie na pierwszym miejscu, to wszystko inne będzie na swoim miejscu. Niestety, nie oznacza to, że każdy myśli w podobny sposób. Dlatego że odszkodowania to też pieniądze, nieraz bardzo duże, a gdzie są pieniądze, tam zawsze jest problem. Nadużycia, brak etyki w działaniu, korupcja, hienizm (od hieny – zwierzęcia, które karmi się padliną), dorabianie się na cudzej krzywdzie – to wszystko jest na porządku dziennym. I nie mam tutaj na myśli firm odszkodowawczych, ale ubezpieczycieli, którzy w jawny sposób żerują na krzywdzie drugiego człowieka, odmawiając mu należnego, przewidzianego przez prawo odszkodowania lub drastycznie zaniżając je, licząc na to, że rzucone ochłapy wystarczą i osoba poszkodowana nie będzie dochodziła swoich praw. Wynika to z tego, że ubezpieczyciele zarabiają na sprzedaży polis ubezpieczeniowych, a nie na wypłacie odszkodowań.

Ważne, żeby zrozumieć, że wypadki są różne. Najczęstsze to komunikacyjne, gdy na przykład mamy do czynienia ze zderzeniem pojazdów, z potrąceniem pieszego, rowerzysty czy zderzeniem tramwajów, metra, autobusów, pociągów, samolotów itp. Są wypadki przy pracy i w pracy rolniczej, gdy osoba wykonuje swoje czynności służbowe, a w ich trak-

cie dochodzi do wypadku, w którym człowiek doznaje urazu bądź ginie. Następnie są błędy medyczne, czyli takie sytuacje, w których z powodu błędu lub zaniedbań personelu medycznego dochodzi do pogorszenia stanu zdrowia lub do śmierci pacjenta. Później różnego rodzaju upadki w wyniku zaniechania i zaniedbań, na przykład na nieodśnieżonej nawierzchni na parkingu przed marketem lub z powodu zepsutego, czyli niebezpiecznego chodnika, wyszczerbionych schodów w miejscach publicznych itp. Większość z nich niemalże nie powoduje większych następstw, zdarzają się uszczerbki na zdrowiu lekkie, później nieco bardziej dokuczliwe oraz te znaczące, powodujące czasową niezdolność do pracy lub do samodzielnego funkcjonowania, aż po te ciężkie, czyli takie, które potrafią złamać życie ludzkie raz na zawsze: prowadzą do niepełnosprawności, a nawet śmierci. Wypadki ze skutkiem śmiertelnym są najpoważniejsze, ponieważ przyjmujemy, iż życie ludzkie jest wartością najwyższą. Ale tu branża odszkodowań niezwykle surowo ocenia życie człowieka, określając jego wartość finansową, materialną i majątkową. Finansową pod względem tego, jak duży rozmiar poniesiona szkoda ma dla rodziny – gdy dochodzi do śmierci, wówczas mówimy o brutalnie przerwanej relacji, najczęściej dobrej. Wówczas będzie to zadośćuczynienie dla najbliższych: współmałżonka, dzieci, rodziców, dziadków, wnuków, rodzeństwa. Wartość materialna odnosi się do tego, że człowiek – zwłaszcza dorosły – jest w stanie gromadzić wszelkie dobra materialne, a to powoduje, że jego rodzina bogaci się. W chwili śmierci rodzina jest pozbawiona tych dochodów częściowo, a w niektórych przypadkach w całości. Wartość majątkowa jest wtedy, gdy spoglądamy na człowieka jako podmiot, który może stanowić dobro osobiste dla innego człowieka. Gdy w wypadku umiera chirurg, będzie miał inną wartość majątkową dla społeczeństwa niż osoba, która w chwili śmierci pozostawiła po sobie spuściznę w postaci wielu pobyków w więzieniu, pobitych

i okradzionych ludzi, a na co dzień była alkoholikiem spędzającym popołudnie pod sklepem. To, kim jesteśmy, i co robimy, to dobro ogółu i jakaś wartość majątkowa. W niektórych przypadkach kwoty odszkodowań nie miały większego znaczenia. Wynika to z wielu czynników prawnych, w których cechy indywidualne danego zdarzenia mają duży wpływ na jakość roszczeń wobec ubezpieczyciela, zwłaszcza w przypadku polisy OC sprawcy, opartej na kodeksie cywilnym (OC to skrót od odpowiedzialności cywilnej, czyli gdy dochodzi do zdarzenia z czyjejś winy, wówczas jest to odszkodowanie najczęściej wypłacane z polisy OC sprawcy/pracodawcy). Inaczej będzie wyceniane roszczenie dla dziesięcioosobowej rodziny za tragicznie zmarłego chirurga, wyróżnianego wieloma nagrodami, a inaczej za tragicznie zmarłego bezrobotnego alkoholika, który nie miał większej liczby bliskich, a jedyną osobą, która utrzymywała z nim kontakt, była mieszkająca 200 kilometrów dalej siostra, widująca go raz na trzy miesiące. I jeszcze jeden aspekt – z punktu widzenia ubezpieczyciela osoba po wypadku może być sprawcą tego zdarzenia, może być pokrzywdzonym (czyli poszkodowanym) lub współwinnym (przyczyniła się do powstałej szkody, ale nadal ma prawo do częściowego odszkodowania). Przy określaniu twojej wartości materialnej, czyli w przypadku twojej śmierci, liczy się to, co robiłeś, jaką miałeś rodzinę, majątek, jakie relacje utrzymywałeś z rodziną bliższą, dalszą, z kim i gdzie mieszkaleś, ile zarabiałeś, co komu darowałeś za życia i jakiej to było wartości, co umiałeś (czy przykładowo miałeś dwie lewe ręce do wszystkiego, czy byłeś złotą rączką), ile miałeś lat, gdy zginąłeś, kogo osierociłeś, kto cię stracił, ile wydawałeś na życie, ile oszczędzałeś, jakie tworzyłeś perspektywy dla młodszych itd.

A zatem kto jest hieną? Osoba pracująca w branży odszkodowań, która za obsługę prawną pobiera honorarium w postaci procentu od uzyskanego odszkodowania czy towa-

rzystwo ubezpieczeń, które tak różnicuje wartość człowieka? Na to pytanie nigdy nie znajdziemy odpowiedzi, ponieważ zawsze liczy się kontekst. Możesz być zbrodniarzem lub bohaterem. Tak naprawdę liczy się tylko kontekst, kim jesteś dla kogo. Lubię swoją pracę, lubię być bohaterem, ale każdy musi normalnie funkcjonować i się rozwijać, a więc musi być zapłata. Na prowizję można czekać dwa-trzy lata w normalnie trwającej sprawie, a i pięć-siedem lat w szczególnie trudnej. Zgodzisz się dzisiaj podjąć pracę za zapłatę za siedem lat? Ta praca to olbrzymie poświęcenie – i dla człowieka, i swojego cennego czasu – ale uważam, że tak już jest, że aby czegoś w życiu dokonać, trzeba coś zrobić z własnym życiem, musi ono być misją, trzeba stać się dla kogoś kimś ważnym.

Sądzę, że warto, abym napisał coś o sobie, dla lepszego zrozumienia, czym są dla mnie historie duchowe po ciężkich wypadkach. Urodziłem się 7 stycznia 1986 roku w Poznaniu. Rocznik Czarnobyła – tajemniczego wybuchu elektrowni na terenie Ukrainy – widmo i niebezpieczeństwo pogorszenia stanu zdrowia, czyli... wypadek. Myślę teraz o Ukrainie, w której nadal, po napaści Rosji na ten kraj, toczą się potworne walki, giną ludzie, a czołgi jeżdżą tuż obok wspomnianej elektrowni. Urodziłem się tuż przed zmianami 1989 roku. Pokolenie X czy Y, a może Z? Nie znam się na tym. Na pewno różnię się od moich rówieśników.

Byłem typowym dzieckiem wychowywanym na porządnego człowieka, choć miewałem swoje okresy buntu i niezrozumiałego cyklu głupich zachowań. Głupich, bo tak to jest, gdy młody człowiek chce zmian. Buntuje się, gdy zacznie inspirować się rzeczami, które po czasie wcale nie okazują się ważne, gdy nie zgadza się na narzuconą rzeczywistość. Mam tu na myśli towarzystwo, subkultury, muzykę, współczesne trendy. Dorastałem w czasie, w którym wszystko zmieniało się, zarówno pod względem politycznym, jak i cywilizacyj-

nym. Pojawił się komputer, telefon stacjonarny w każdym domu, później komórkowy, smartfon. Świat materialny przyspieszył, a szczególnie w Polsce, gdzie wpływ zachodnich państw, po uwolnieniu się od polityki bloku wschodniego, faktycznie miał znaczenie. Ja tego nie dostrzegałem, dla mnie to było naturalne. Z tego powodu łatwo było zachłysnąć się nowoczesnością, materializmem, konsumpcją. Nie twierdzę, że to jest dobre albo złe. Po prostu jest. Ale zawsze, jeśli jest czegoś za dużo i to coś przesłania nam rzeczywistości, to jest to złe. Dla alkoholika alkohol, dla seksoholika seks, dla narkomana narkotyki, dla przeciętnego człowieka uzależnienie od rzeczy, jeśli za bardzo przywiązuje się do niej, na przykład do telewizora, internetu... Na ile wszyscy jesteśmy chorzy na konsumpcjonizm? Nie wiem, nie oceniam tego, każdy z nas potrzebuje rzeczy jako przedmiotów samych w sobie. Skupiamy się na rzeczach jako na przedmiotach. Dlatego namawiam, aby spojrzeć na tę książkę jak na coś innego, co stoi ponad tym, jest głębsze, znacznie głębsze, mimo że nadal jest jedynie przedmiotem – nośnikiem informacji. Przedmioty codziennego użytku są nam niezwykle potrzebne, dają nam komfort. Jest też luksus... Kiedy to wszystko przestaje mieć znaczenie? Właśnie wtedy, gdy dochodzi do wypadku. Wtedy wszystko się zmienia.

Po szkole podstawowej jako pierwszy rocznik trafiłem do gimnazjum, potem do liceum i na studia. Studiowałem polonistykę, ale nigdy nie byłem świetnym humanistą ani nie miałem wybitnych umiejętności władania językiem ojczystym. W tamtym czasie była to dla mnie ucieczka od obowiązkowej służby wojskowej. Nie chciałem tracić czasu na wojsko, zwłaszcza że bieganie po lasach, noszenie munduru i bezproduktywne stawanie na baczność dla idei miałem już za sobą – byłem harcerzem przez dziesięć lat i najeździłem się już na obozy harcerskie, biwaki, zloty itp., miałem wyuczony alfabet

Morse'a, znałem wiele znaków topograficznych, znałem przysięgę harcerza, hymn harcerski i wiele kwestii z tym związanych: Bóg, Honor i Ojczyzna, i to, że na słowie harcerza można polegać jak na Zawiszy.

Właśnie, kwestia Boga... Boga, duchów, religii. Z tym miałem w okresie dojrzewania poważny problem. Byłem też ministrantem, a więc stałem przy ołtarzu i służyłem do Mszy Świętej, chodziłem po kołędzie w okresie zimowym, odwiedzałem ludzi, oglądałem ich domy, zaśpiewałem kołędę i dostałem kilka złotych. To był pierwszy raz, gdy poznawałem historie innych, bo zawsze w te kilka minut opowiedzieli coś o sobie.

Byłem zatem ministrantem i harcerzem i to właśnie były dwie największe i najgorsze rzeczy, jakie wpłynęły na moje życie w tamtym czasie. Te dwie społeczności różniły się w niewielkim stopniu, ponieważ w naszej parafii pw. Świętej Trójcy w Poznaniu ministranci byli harcerzami, a harcerze ministrantami. A dlaczego był to dla mnie najgorszy okres? Dlatego że, będąc dzieckiem niezwykle wrażliwym, introwertycznym, z dużą łatwością brania do siebie opinii innych, przy tym najczęściej najmłodszym, najmniej mądrym, najmniej lubianym, byłem po prostu przy każdej nadarzającej się sposobności kozłem ofiarnym, byłem traktowany z pogardą, wyśmiewany, wyszydzany. W szkole podstawowej i gimnazjum (to były te same osoby, bo byliśmy klasą 6+3 – łącznie dziewięć lat razem) oraz w liceum zawsze znalazł się ktoś, kto potrafił skutecznie uprzykrzać mi życie. Najczęściej z powodu wyglądu, ale także dlatego, że starałem się być aktywny – miałem od zawsze wrodzoną ciekawość – i to często wielu osobom się nie podobało, bo, ich zdaniem, byłem za mały i za głupi, żeby o czymś dyskutować, na niczym się jeszcze nie znając. Tam, gdzie chciałem się wybić i zrobić coś innego, tam znalazł się szyderczy uśmiech, fałszywe spojrzenie i oczywiście odpó-

wiedni komentarz. Staralem się sprawiać wrażenie, że mnie to nie dotyka, ale dotykało mnie w taki sposób, że znienawidziłem ludzi, stałem się osobą samotną, nierozumianą. To rodziło we mnie bunt na wiele rzeczy, także na Boga, honor i ojczyznę – jako na hasła brzmiące patetycznie, a nieznaczące zupełnie nic. Bo skoro wypowiadają je osoby, które powinny świecić przykładem, a po cichu potrafią zdeptać drugiego człowieka, poniżyć go i trwale na wiele lat uszkodzić jego system wartości, to czym to wszystko niby miało być? Fikcją. Tylko że wtedy godziłem się na bycie ofiarą – w imię wyższych wartości. Jakich? Żadnych. To była czysta fikcja. Tak wpędzony w potężne kompleksy, zbuntowałem się przeciw wszystkim i wszystkiemu. Jedynie w domu czułem się bezpiecznie. Jako introwertyk bardzo potrzebowałem ciszy, z niej czerpałem energię. Kiedy mi ją odbierano, najlepiej czułem się w samotności, we własnym pokoju. Wiem, że przez takie samopoczucie nie byłem łatwym synem dla moich rodziców, ale przetrwali i dziękuję im za to.

Gdy miałem 19 lat, zamiast być młodym człowiekiem z energią wchodzącym w dorosłość, nie wiedziałem nic oprócz tego, że jestem beznadziejny we wszystkim i jedyne, co muszę zrobić, to jakoś uciec przed wojskiem. Nie chciałem znów zakładać munduru i w grupie ludzi wykonywać czyichś poleceń, nie chciałem znów podporządkowywać się, być ocenianym. Po maturze zdałem na studia na Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i robiłem wszystko, żeby przetrwać tam programowe pięć lat. Po kilku miesiącach zdałem sobie jednak sprawę, że coś się zmieniło. Poznałem nowych ludzi i... wśród nich nie było nikogo, kto spojrzałby na mnie tak samo źle, jak inni przez ostatnie dziesięć lat w harcerstwie, w kościele czy w poprzednich szkołach. To nie znaczy, że od razu dokonała się we mnie wielka zmiana. Chodziło tylko o uzmysłowienie sobie spokoju, ciszy i braku skupienia na mnie jak na osobie, którą można psychicznie bić i kopać. Jeszcze tego nie wiedzia-

łem, ale podskórnie wyczuwałem, że jest dobrze, coś się zmieniło. Dzisiaj już wiem, że to spokój – tylko spokój jest nośnikiem potężnej siły. Ja doznałem spokoju.

Dlaczego byłem harcerzem i ministrantem służącym w Kościele katolickim? Dlatego że rodzice mieli taki pomysł na mój rozwój osobisty. Przecież każdy ojciec myślący o synu, który ma usamodzielnąć się, w harcerstwie widziałby faktycznie dobrą szkołę życia – idź, naucz się czegoś, żebyś sobie radził. Ja to rozumiem. W porządku... Tak jak jedno i drugie ideowo jest mądre i wartościowe, tak te doświadczenia życiowo sponiewierały mnie doszczętnie. Tak bardzo nie chciałem zawieść rodziców, że godziłem się na cierpienie, poniżanie, chwile obłudnej przyjaźni, fałszu, szeptów za plecami, aż stałem się skrzywdzonym, zakompleksionym człowiekiem, niezdolnym do samodzielnej egzystencji, bez planów na życie, bez żadnej pewności siebie, za to z dużą, głęboką wrażliwością, jeszcze bardziej pogłębianą przez doznane cierpienie. Swojego dziecka nie wysłałbym do harcerstwa i służby przy ołtarzu, bo nie ma to większego sensu – w tym nie ma Boga. Ale na pewno będę otwarty na jego odczucia i wrażliwość. Odkrywając fałsz i ból związany z życiem harcerza i ministranta, uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nie ma niczego duchowego w tym wszystkim, co widziałem. Jaki Bóg? Honor? Może tylko ojczyzna, ale nie taka, jaką bym chciał dla siebie. Do kościoła chodziłem, bo mnie tak wychowali rodzice. Było to mechaniczne odtwarzanie narzuconych regułek i zachowań. Stałem przy ołtarzu, patrzyłem na wszystkie rzeźby, księdza i na to, jak wszyscy się zachowują – tak jak zostali nauczeni. Ksiądz mówi A, parafrania mówią B, później kazanie, kilka słów, znów klepanie regułek, które już znałem na pamięć. Nie było w tym niczego duchowego, boskiego. Pochodzę z katolickiego domu, ale katolikiem nie jestem z uwagi na wiele różnych spraw, które w tym odłamie

chrześcijaństwa nie zgadzają się z tym, co wiem, jeśli chodzi o sens tej książki. Jak najbardziej natomiast czuję się pełnowartościowym chrześcijaninem.

Służbę ministranta porzuciłem, mając 16-17 lat, kiedy rodzice pozwolili mi pójść swoją drogą i nie był to już problem; podobnie harcerstwo. Pójście własną ścieżką polegało na tym, że po prostu siedziałem w domu i nie szedłem na zbiórki do harcówki lub do kościoła. Wtedy zaczynała się moja częściowa wolność – od wszystkiego, a dokładnie od tego, co czyniło wobec mnie zło: od Kościoła, który kojarzył mi się z automatyzmem zachowań, osoby Boga, Jezusa, Matki Bożej, Ducha Świętego oraz innych wszystkich świętych i wszystkiego, co religijne. Wszystko to stało mi się obce, a tak naprawdę nigdy nie było bliskie. Było odległe, a teraz mogło być jeszcze bardziej. Przez kilka kolejnych lat nie poszedłem do kościoła, może tylko na Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Porzuciłem wszystko, co oferował. I cieszyło mnie to. Musiałem jeszcze pozbyć się ludzi ze szkoły, ale w tamtym okresie nie miałem na to wpływu.

Studia, szkoła wyższa, uniwersytet. Ludzie innej kategorii, ale czy lepszej? Każdy był skupiony na sobie, ponieważ polonistyka wymagała faktycznej nauki i poznawania różnych starych tekstów, źródeł, opracowań, ksiąg, publikacji. Nie było czasu na interesowanie się innymi, trzeba było działać. I to dla mnie było dobre, czułem, jakbym był pod osłoną. Nie od dziś wiadomo, że jak ludziom jest ogólnie źle i trudno, to łatwiej im zjednoczyć się we wspólnej sprawie. Dlatego wiem, że skupialiśmy się wszyscy wspólnie na przetrwaniu, zwłaszcza pierwszego roku tych niełatwych studiów. Na początku wszyscy byliśmy poważni, zaangażowani, nikt nie wiedział, o co chodzi. W liceum przesiadywanie na lekcjach po czterdzieści pięć minut było długie i nużące, a tutaj ćwiczenia i wykłady po dziewięćdziesiąt minut – to było już ekstremum. Pierwszy rok

filologii polskiej to tak naprawdę nauka staro-cerkiewno-słowiańskiego i łaciny. Wciąż miałem sporo problemów, dla mnie była to zupełnie inna rzeczywistość. Ja i polonistyka? Ja tylko przed wojskiem uciekałem. Nie sądziłem, że utrzymam się długo, mój pełen kompleksów umysł widział mnie już jako przegranego, kandydata do odpadnięcia z tej rozgrywki. Na szczęście trafiłem na dwie bliższe mi osoby i razem zaczęliśmy rozmyślać, co zrobić, żeby to wszystko przetrwać. Kiedy zaczynałem studia, chodziłem w szerokich spodniach, bluzach z kapturem, byłem młodzieżowym buntownikiem. Subkultura, która mną zawładnęła i wynikała z moich deficytów, to rap i hip-hop. Jest w niej miejsce dla wyrzutków – zwłaszcza w polskim hip-hopie lat dziewięćdziesiątych. Myślałem, że to właśnie w tej muzyce odnajdę swój indywidualizm, aprobatę dla mojej beznadziejnej inności, wrażliwości i że tam spotkam podobnych do mnie wyrzutków społecznych. Niestety, dopiero po latach zrozumiałem, że moim największym wrogiem i człowiekiem, który nie może mnie zaakceptować, byłem ja sam. Nie można uciec od siebie, ale odkrycie tego wymagało zmiany percepcji i zadawania kolejnych pytań. Najpierw musiałem pokonać siebie, aby wiedzieć, kim jestem, po co jestem, dla kogo i jak bardzo wartościowe jest to, że w ogóle jestem, tu i teraz. Poznając siebie, dowiedziałem się, że nie będzie już nikogo, kto mnie pokona. Ta zmiana to najtrudniejsze, co mnie w życiu spotkało. „Gdy pokonasz siebie, to już nikt inny nie stanie na Twojej drodze” – to słowa, które usłyszałem od Jacka Walkiewicza na jednym z nagrań na YouTube („Pełna moc możliwości”).

Na drugim i trzecim roku studiów zacząłem interesować się wieloma rzeczami, zadawać sobie różne pytania, ale mimo to nadal byłem skupiony na skrzywdzonym ja. Towarzyszyło mi negatywne myślenie i rozpad wszelkich wartości. Od zawsze miałem umiejętności analityczne, co zapewne zawdzięczam mojej mamie, która jest niezwykle analitycznym